

SAMPLE
TRANSLATION

VLADO ŽABOT
PLEMIĘ JASTRZĘBIOWE

PUBLISHED BY: CANKARJEVA ZALOŽBA, 2010

TRANSLATED BY: REGINA MARIA WOJTOŃ

ORIGINAL TITLE: LJUDSTVO LUNJA

NUMBER OF PAGES: 403

Vlado Žabot: PLEMIE JASTRZĘBIOWE

Pewnego wieczoru Ognisty Wilk stanął na brzegu rzeki, wyszczerzył kły nad wodą, a w niej drugi Ognisty Wilk uczynił dokładnie to samo.

– Dlaczego nie mogę wejść w ciebie? – ten na brzegu nie mógł zrozumieć szemrzącego ostrzeżenia Rzeki. – Dlaczego on może?

– Tu nie ma nikogo innego prócz ciebie, który jesteś już we mnie – odpowiedziała Rzeka.

– Dlaczego więc nie gasnę? – nie mógł zrozumieć Wilk.

– Bo ja tutaj jestem – odparła Rzeka.

Rozdział

I

Duchu Rzeki Krwi,

Ty jego żywisz,

On żywi ciebie.

Chyba wszyscy byli już tak zmęczeni i zmarznięci jak Jelin i Iwin, kiedy z pustymi żołądkami i tak samo pustymi torbami wyszli z lasu i powlekli się po bagnistej, ośnieżonej breji przez pastwiska w stronę chat. Ten i ów nie bacząc na deszcz mimowolnie, przystawał raz przy ogrodzeniu, raz pod okapem strzechy. Zarośnięci, potargani, milczący. Spoglądali za siebie to przed siebie z niepokojem, bez mrugnięcia okiem, bez drgnienia – z pokorą ośmielali się tylko patrzeć spode łba i zezować na boki. Wśród błota i wody w rozwiązanych onucach i futrach ponarzucanych na grzbiety, z zaropiałymi jakby wilczymi oczami, przystając raz po raz, wyglądali jak liniejące zwierzęta, poddawane próbie przemiany wiedzionej kaprysem natury.

Poznali po dymie z chat, po swoim wyczerpaniu, też od zmęczenia w lędźwiach i kościach, że to od wlokącej się w nieskończoność humorzastej zimy, która to puszczała to trzymała po błotnych, deszczowych odwilżach, znowu i znowu pokazywała lodowe zęby. Wszystko to objawiało jedną ze złośliwości bóstw, wciąż to samo nieszczęście, które już kilka zim, od kilku lat nękało plemię jastrzębiowych.

Z dymu, z rozwalonych, zawilgoconych chat roznosiło się popłakiwanie rozgorączkowanych dzieci, pokasywanie starców i staruszek oraz złośliwe zrządzenie kobiet. Ze stajni i chlewu zionęło straszliwą ciszą. A między chatami chowały się psy: niezwykle drocenne, bo rzadko spotykane.

Mgła zawisła nad ziemią. Dzień po dniu siąpiło, niebo ze wszystkich stron jednakowo puchło, marszczyło się i układało warstwami, szarzało, przechodząc w mrok – i taki sam mrok, wrogość i chłód wypełzały z lasów, bagien i ze spojrzeń ludzkich. Tylko czasami o zmierzchu dnia, lekko nad horyzontem jarzyła się krwawa luna...

A starcy wiedzieli, że święty Światłosyn jeszcze powróci między Jastrzębi i że gdzieś tam, za mroczną i krętą linią horyzontu – także dla jastrzębiowych – święta Rzeka Krew sama z siebie jeszcze ciągle bierze źródło i sama z siebie jeszcze ciągle wypływa.

W dali huczały wody Temory, która niosła lód z niewiadomych krain. Niekiedy wiatr wiejący znad bagien zacinął rześkim deszczem: wściekle targał skrzydłami wron, porozwieszanymi w stodołach i na nagich gałęziach, z szumem hulał w podgniłych trzciniowych poddaszach, szastał stwardniałymi skórami zasłaniającymi wejścia do chat. Ten wiatr zdawał się przypominać ludziom o tych, co odeszli, i o surowości gwiazdowego Srogusza¹... O wszędzie wytropionej zwierzynie i o bogini Hece, która ciągle władała światem, a która jeszcze tej zimy nie zamierzała się poddać, o czym wszyscy wiedzieli i o czym wciąż rozprawiali.

Wieść ta roznosiła się pośród mieszkańców każdej osady należącej do plemienia Jastrzębi.

Oczywiście wiedzieli o tym i starcy, którzy razem z Sadzuchem – wtedy umazanym w trupio szare barwy mrumurem² – siadali wokół otoczonego chatami

¹ *Srogusz* – tutaj bóg, którego obecność przez pół roku objawia się w ognistej postaci – gwiazdozbioru Oriona na niebie, przez drugą połowę roku uosabia go pojawiający się jastrząb bagienny. Stąd w powieści przeobrażenie rzeczonoego bóstwa jest symbolem zmiany pór roku: z zimowej na wiosenną i z letniej na jesienną. (przyp. tłum.)

² *Mrumur* – nazwa pochodząca od wydawanych odgłosów mruczenia; tu: plemienny czarownik, zaklinacz, żrec. (przyp. tłum.) lęgnie w głowach, jaka rzecz mroczna, wręcz bagnista, głośna nawet w chatach

paleniska. I trwali tak, podtrzymując ogień w deszczu, gradzie i na mrozie – z podniosłą starczą posępnością wczuwali się w świętą obecność duchów przodków i całego bractwa jastrzębiowych rodów. W deszczu przemoczone polana tliły się niechętnie i na złą wróżbę ciągle obracały się ku ziemi. Lecz się tliły. To tu, to tam z żaru, z kupy popiołu, coś jakby nawet zaświstało. A święty wiąz, pradziad święty, stał niewzruszenie wśród roznoszącego się po polach dymu, nad i ogniem kuniej osady – jak podczas już tylu zim – by zawsze pokrzepić jastrzębiowe plemię w jego rozlicznych trudnościach.

Tylko od czasu do czasu do milczących starców, okrytych kapturami kozuchów, przysiadł się za dnia jakiś młodszy mężczyzna: dokładał polano albo grzebał w żarze, po czym ponuro spoglądał na dżdżyste niebo, na skryte za zasłoną mżawki przemoczone chaty i jednocześnie patrzył z zalem na niekę ofiarną: wydrążone z pnia naczynie u stóp wiązu, w którym zanurzało się wszystko, co było z kamienia – co służyło obronie, walce albo polowaniu. Choć czasem jeszcze przysiadł się z miejsca na miejsce, żeby uciec przed gryzącym, dławiącym dymem, zwykle potem, nie wiedzieć czemu, jak inni myśliwi zbierał się i wracał do siebie – w milczeniu.

Każdy bowiem miał świadomość, co się kryje w tym nieustającym deszczu i co się wśród gwaru kobiet i dzieci.

Również Iwin i Jelin byli podczas nocy Srogusza, kiedy w świętej niecce ofiarnej gromadziła się krew. Zaklinacz wyciął i wypalił im głęboko na lewej piersi pół myśliwskiego znaku jastrzębiowych, po czym jakoś tak niechętnie każdemu dał w posiadanie łuk, strzały na ptaki, procę, torbę i naostrzony róg. Od tego czasu mieszkali sami, w osobnej chacie, gdzie odbywały się młodzieńcze próby. Zarazem stronili od płodnych kobiet, oraz chodzili na polowania... I jak wszyscy, którzy przed nimi ten sprawdzian przechodzili, zapragnęli czym prędzej wyzbyć się strachu przed chytrą podlizn, bagniorów i biesów, przed wilkami i złem z deszczowych bagien, a na koniec jeszcze wykazać się zdobyczą.

Rzeczywiście, mrumur już tej strasznej nocy kołysał się nad nimi jak zwykł to czynić nad marnym, przedwcześnie zebrany plonem. Wszak mało kto wierzył, że i oni mogą plemieniu przynieść coś dobrego. Tutaj także bóstwa i duchy rodowe dawały i brały wedle własnej woli. Inaczej być nie mogło. Dlatego też, jak od zawsze przypadało młodzieńcom na próbie, i oni ośmielili się zanurzać strzały we wspólnej krwawej niecce ofiarnej, używać prawdziwych czółen, przynosić łup i ze wspólnej zdobyczy dostawać pożywienie. Gdy nie było w pobliżu kobiet, dosiadali się do ogniska, obok nosicieli ognia, myśliwych, starców i drzemiącego w niecce ducha walki i łowów. Robili to milcząc, ze zwieszoną głową, zerkając spode łba, siadając należącym z boku, wąskim dla młodzieńców przeznaczonym pniu, ale blisko Sadzucha,

blisko mrumura, przy świętym jastrzębiowym ogniu pod wiązem, gdzie radziło się o wszystkim, o czym tylko w Kunim można było uradzić. Tutaj, pod wieczór zaklinacz z jastrzębim piórem na bezwłosej głowie, w okryciu z kuniej skóry, wyjąłym przeciągłym głosem odganiał

biesy, rozbudzał myśliwskiego i bojowego ducha z krwawej niecki, zaklinał bóstwa, zaklinał gwiazdnego Srogusza błagając o powrót Światłosyna plemieniu jastrzębiowych, zaklinał zmarłych w tłących się płomyczkach światła w chatach kobiet i odprawiał ich do Rzeki Krwi... A potem znowu i znowu wypowiadał zaklęcia przeciw podliznom i bagniorom, zaklinał heka – ducha śmierci w rogowych albo kamiennych ostrzach noży, grotach strzał i oszczepów. Tutaj nocą przysłuchiwali się duchom, wilkom i oddalonemu, jakby spod wody wydobywającemu się wyciu bagniorów znad Temory – oraz tym rzadkim słowom obietnicy, w jakie każdy po swojemu wierzył, że nie ma, nie ma bagniora, który ślizgając ośmieliłby się przejść rzekę i szerokie mokradła, by dotrzeć aż tu, i że podły zwierz na przekór wszystkiemu nadal pozostanie głęboko pod wodą. Zaiste jest tak, że i o porażce Jastrzębi, i o porażce Światłosyna decydują bóstwa... Jak i o tym, że podczas tych rzadkich szczęśliwych dni, mogli oni odprawiać myśliwskie obrzędy, dolewać do niecki krwi oraz ćwiartować zdobycz.

Najczęściej Iwin z Jelinem ośmielali się tylko stać na uboczu, patrzeć i nasłuchiwać. Czasem także zedrzeć skórę z ubitych zwierząt, twarz i odzienie szybko posmarować krwią i tłustym mazidłem pochodzącym z trzewi większej zdobyczy. Zbiec z boczem po wodę. Coś nawet przynieść albo podnieść, jeżeli tak się zdarzyło, że któryś z myśliwych im o tym napomknął. A jednak w głębi serca być dumnym z wszystkiego: pradziadów, bractwa i rodu... Zwłaszcza wieczorami, kiedy w chatach kobiet i dzieci niespokojnie migotały światła zmarłych, nie zważając na deszcz, gdy zbierała się większość myśliwych, starców i nosicieli ognia, gdy na przekór wszystkiemu, w tym ludzkim kręgu panował spokój. Prawda, że teraz pod koniec zimy, podczas deszczu, kiedy zaledwie zapach budzącego się krwawego ducha unosił się znad niecki, w czasie biesów i tych, co odeszli, czekaniu na Jastrzębia, myśliwi i starcy mówili niewiele – wymieniali zaledwie pomruki oraz poprzez dym podeszłe krwią spojrzenia. Toteż wszędzie w jastrzębiowych osadach, zarówno to czekanie jak i milczenie oznaczały pewne przymierze, braterstwo spod znaku Jastrzębia, spod znaku bóstw i wszystkich braterskich duchów rodowych. Obu młodzieńcom było wiadomo, że prawdziwy mężczyzna w dobrym i złym najwięcej powie, kiedy milczy, kiedy mówi jedynie wyraz jego twarzy, spojrzenie, może gest, ruch ręki – wedle potrzeby. Wszelako, jeżeli jest ku temu sposobność, najwięcej rzeknie łuk i strzała, oszczep, rogowe albo kamienne ostrza, umiejętności tropienia albo trwania na czatach i bezszelestnie odbite od brzegu czółno, cichy krok – i oczywiście zdobycz. Dobrze jest więc poznać swoje zajecie, dobrze jest wiedzieć, że również w Wodnych gdzieś za lasami, w górze rzeki Kalnicy, jeszcze dalej oddalonych Jaźwiczach i Bierzanach tak samo w chatach kobiet migotają święte płomienie zmarłych, że myśliwi i starcy czekają, kiedy w końcu obudzi się w świętej niecce duch... Dobrze jest wiedzieć, że mimo deszczu siedzą przy ich mrumurze, przy ich Sadzuchu pod wiazem i czują to jastrzębiowie przymierze, wszyscy wiedzą samo o Światłosynu, o Jastrzębiu, o krwawym duchu, o wronich piórach, o pradziadach i podliznach, biesach i bagniorach, o głodzie i deszczu, o mrozie, Hece i Rzece Krwi, i że tam też długo czekają, aż gwiazdny myśliwy, gwiazdny Srogusz miotając swoim złym przenikliwym spojrzeniem jednak zstąpi z pagórka na południową stronę ku jastrzębiowym. Dobrze jest wiedzieć, że gdzieś tam, w tej głuszy leżą sobie z Jutrzenką

Niebieską, opiekunką dzikich stworzeń, a od tego ich niebiańskiego parzenia unoszą się przyjemnie pachnące oddechy i że wszechmocny, potężny i grmiący Ognisty, ostatecznie pokona biesy, mrozy, nieszczęścia, z okrutną Heką na czele. Dobrze się działo. Choć ani myśliwych ani starców nie jednoczyło jakieś uczucie przyjaźni czy żalu, to w tym wszystkim i tak były obecne dobre duchy rodowe, które także w zmartwieniu otaczały bractwo opieką.

Jelina od czasu do czasu przenikał dreszcz, gdy nagle wśród deszczu, ognia, wyczonego w nozdrzach dymu, niewyraźna biała postać mrumura stawała mu przed oczyma. Siedzący wtedy zazwyczaj obok niego Iwin niecierpliwie wiercił się, oglądał, drapał się i przeciągle smarkał, zajmował się to odzieniem, to rękami i najwyraźniej daleko było mu do skupienia, które w obecności duchów rodowych, starców i myśliwych, wystawiane było na próbę. Był starszy, ze dwie głowy wyższy od Jelina. Chudy, tyczkowaty, wątłego ciała, o wąskiej kościstej twarzy, orlim wielkim nosie oraz stojących, na wszystkie wiatry sterczących włosach. Starcy, myśliwi i mrumur też pewnikiem zauważyli, że mu oczy i głowę nierzadko zasnuje jakiś mrok, z którym poradzić sobie nie sposób. Nie podobało im się zapewne, gdy tenże Iwin często kopał kamienie, rzezał w kawałku drewna, a czasem w chacie, po cichu, jakby w nimkwił jakiś dziwny pełen żalu ptak, dobrej Mokuszy – bogini odradzającego się życia, popiskiwała na puszczalce. To jego ciosanie i popiskiwanie przecież w owym czasie bynajmniej żadnego posłuszeństwa nie oznaczało. Może by je nawet dojrzeli, nawet przysłuchaliby się odgłosom puszczalki, jeżeli byliby najedzeni niczym niedźwiedzie, niczym niedźwiedzie spokojni, ciepło zawinięci w skóry czekali, póki ten mrok i deszcz, ta zima, to nieszczęście – w końcu przeminą, tak jak przeminąć powinny. Jednakże dobrotliwa Mokusz ciągle nie przybywała... A znów ponizona i obrażona przez Jutrzenkę Niebieską i Gwiezdnego Srogusza Heka, palając wściekłością wszystko wiodła na zatracenie. Mrumur już zbyt wiele razy zapalał ogień i tłukąc po wydrążonym, obciążonym skórą pniu na wiatr żałośnie wypowiadał zaklęcia zmarłym na żałobnych stosach, posyłał ich na drugą stronę wody, wiatru, pagórków i ognia, ku oddalonej świętej Rzece Krwi. Potem jeszcze o świcie, posępnie od tego szumiało w uszach, niczym rana bolała, palący i ciężki słodkawy zapach unosił się po chatach a zimno wżerało się w głowę. O bliskim zatraceniu przypominały również puste już kosze i jamy po zapasach, miejsce po cielnym zwierzęciu w chlewie czy stajni. Po zmarłych, których czarownik spalił i odprawił do świętej rzeki, w kagankach i lampkach pozostał popiół, a w chatach kobiet migotały płomyki ich dusz czekające na Jastrzębią Noc.

Zaiste, nikt nie wiedział, jak długo to potrwa: ten czas, ta nadgniła zima, która jak nigdy zwlekała z odejściem. Jak długo trzeba czekać, by do jastrzębiowych znowu powrócił święty Światłosyn, by z Jaźwiców przegnali niegodziwe, bo zwodzące bóstwo – Szczuwara i by szczyły podłe mamidła z jaźwinskiej mogiły.

Każdy kolejny dzień nie zwiastował niczego dobrego.

Dopóki Jastrząb trwał pokonany, dopóty wisiała kara nad Kunim i nad całym jastrzębiowym plemieniem.

Nadal nocą ugory i pastwiska pokrywały się śniegiem, a ziemię i korony drzew znów pokrywało szronem. Ciągłe natura opierała się, by na powrót obdarzać swymi dobrami. Z pobliskich dolinek wyły stada wygłodniałych wilków i popiskiwały nocne ptaki drapieżne. Po pochyłej, wciśniętej jakby pod wzgórzem Kalnicy i mokradłach łążyły biesy oraz ciemne nieczyste mary pozostałe po niespalonych zmarłych, wyłaniających się z jam bogini Heki. Ów ciężar w piersiach, kościach i wnętrzościach zwiastował niechybną śmierć. Tych kilka srok i wron, które wciąż dnia zdołali upolować tylko najbardziej wytrwali i doświadczeni, wystarczyłoby zaledwie dla psów. Brakowało nawet żołądździ, po których człowiek jedynie krzywił się i ślinił. Nie było widoków na pomyślnie zmiany. Wszak i paści, i więcierze w Kalnicy jak zakłete pozostawały puste. Toteż ludzie coraz bardziej i bardziej wierzyli, że w tym złym czasie, na pewną zgubę całej osady, trzeba będzie zjeść także pozostałe psy oraz jeszcze tych kilka cielnych zwierząt stojących w zagrodzie.

Lecz wydarzyło się zupełnie inaczej.

W to, co mówił zapach wiatru i kilku myśliwych, nawet najstarsi w Kunim nie mogli uwierzyć. Otóż ponoć całe stado dzikich świń, przypaętały się na jastrzębiowe łowiska... Mrumur nic nie mówiąc na te nowiny toczył ślinę, wachał wiatr, nadmuchiwał policzki i przewracał wytrzeszczonymi oczyma. Pozostali potrząsali tylko głowami, a co poniektórzy w tych niesionych przez wiatr zapachach, w tych rozmowach rozpoznawali nikłe zwiastuny – ale nadejścia jeszcze cięższych czasów. Baba Kurczur z posępnym obliczem stuknęła kośćmi dookoła chat, mrukliwie zrzędziła z powodu biesów i ciemnych mar wychodzących z jam bogini Heki, jakie niektórzy, zwłaszcza kobiety i starcy podczas długich deszczowych nocy nawet widywali. Nie było żartów. Bo nocą rzeczywiście coś straszło biegało i chciało pogasić płomień, rzeczywiście jęczało, coś wzdychało dookoła chat i na poddaszach, po ścianie długo mocno na przemian to szeleściło, to drapało niepokojąc psy. Z pobliskich drzew nawet za dnia słyhać było skowyt. A od strony mokradel przy wtórze wiatru głucho wył jakiś stwór – jakby z daleka, z dzikich bagien, z tej albo z drugiej strony Temory, jakby ze wszystkich mrocznych krańców świata wiele martwych głosów łączyło się w jedno wielkie posępne zło. Wówczas ciałem wstrząsały dreszcze. A wycie i buczenie bagniorów słyszało się częściej niż kiedykolwiek – razem z odgłosami dzików... Cóż, że latem i jesienią najczęściej trzymały się one z daleka, głęboko w bagnach, gdzieś w Dolnej Dębinie, na skraju lasu, tam gdzie zawsze świtało, albo po drugiej stronie Temory – teraz, bodaj najpodlejsze stworzenia wzięły wszystko we władanie... Zaiste, rzadko zdarzało się, że któreś z nich stawało się zdobyczą jastrzębiowych. I wielu z dawien dawna uważało, że chodzi o podstępne, zabłąkane i wrogie stwory, które po drugiej stronie Temory i Dolnej Dębiny parzą się z niebezpieczniejszymi od wilków bagniorami i podliznami.

Ale głód przynajmniej niektórym myśliwym mówił coś innego. Rzeczywiście, od kilku dni wiadomo było, że jakieś stado zbiegało już ze wzgórza ku puszczy, więc wówczas łażenie za nim gdziekolwiek indziej nie miało celu. Nawet doświadczeni łowczy, nawet nosiciele ognia, najpierw pokręcili tylko głowami, po czym dochodzili do przekonania, że czasem w takich przypadkach nie ma innej rady, jak czekać.

Co się potem okazało – dziki nie odeszły. Przemawiały za tym: zapach wiatru, świeżo stratowana trawa i błoto w niżej położonych łowiskach.

Widząc to myśliwi jeszcze niespokojniej przestępowali z nogi na nogę, wachali krwawą nieckę, wiatr, strzelali dookoła oczami i zaciskali pięści. Niemniej, trwali przy swoim, płwając pełni złości – bo wszystko na to wskazywało, że ani z podliznami, ani z bagniorami, ani z dzikimi świniami nie sposób było rozprawić się po dawnemu... To wielkie niebezpieczeństwo wybrać się na dzikiego zwierza, kiedy nie wiesz, czy możesz; wszak wielce bezbożnie jest odbierać coś bóstwom w niewłaściwym czasie, bo nie będziesz mógł oddać im tyle samo, ile wcześniej zabierzesz. A wówczas łatwo jest przyciągnąć gniew biesów oraz już i tak dostatecznie rozgniewanego gwieźdnego boga.

Wtedy jednooki, chudy Dębniak, nosiciel ognia z bierzańskim znakiem na czole, jakby na zapas, wszystkie te obawy wziął na siebie. Dobrze nasmarował się rozmoczonym świńskim łajnem i wyruszył. Sam. Nawet nie wołając za sobą psa. Jego bierzańscy bracia z bierzańskiej chaty tylko kręcili głowami, lecz pozostali w zagrodzie. Z powodu Dębniaka stary Sadzuch na chwałę bóstw i w poczet myśliwskiego powodzenia na raz wrzucił do żaru kilka wiązek ziół, po czym ze ściśniętymi z głodu trzewiami nadmuchiwał policzki, przeciągle stękał, wykrzywił twarz i ślinił się od złego uroku. Dlatego też, mimo świętego ognia, który zaklinacz trzymał w wiązowej hubce, mimo świętego dymu w palenisku pod wiązem, nikt nie wierzył, że jeszcze kiedykolwiek ujrzą Dębniaka żywego.

Ale Dębniak powrócił.

Z warchlakiem przerzuconym przez ramiona.

Położył zdobycz na ofiarnym pniu w kręgu paleniska, a myśliwi niemo przystąpili ku niemu. Wciąż milcząco wpatrywali się w szare szpeciniaste stworzenie, które nawet martwe wrogo wytrzeszczało ślepią i z ryja szczyrzyło ostre kły. Pokiwali z podziwem głowami widząc dobrze wymierzoną pod lewą łopatką zwierzęcia, jeszcze pieniącą krwią ranę. A potem, kiedy Dębniak, zgodnie z nakazem ranę pokrył ziołami, oni mimo ścierpniętych karków, po społu pokłonili się duchowi ubitego zwierzęcia i Niebieskiej Jutrzence w podzięce. Czarownik kilkakrotnie przewrócił oczyma, nim zdobyczy dmuchnął pod ogon i przegonił jej ducha wraz wiatrem do Rzeki Krwi... Sadzuch prócz tego, że bóstwom na chwałę położył ziele na palenisku, we wszechogarniającej ciszy wyganemu zwierzęcemu duchowi wypowiedział zakłęcie pocieszenia, mające zapewnić powrót któregoś dnia o świcie w młodej skórze, młodych mięśniach i młodych kościach ... Po czym jeszcze oddał dług wdzięczności złej strzale, która ugodziła zwierzę.

Jednak strach, że Dębniak zabrał to, co zakazane, jeszcze ciągle spowijał mrokiem i wykrzywił ludzkie spojrzenia... Albowiem w tym czasie żadne z bóstw niczego dobrego nie dawało; wszak sam Ognisty ciągle pozostawał gdzieś za gęstą zasłoną mgłą i nawet ogień w chatach czy w palenisku pod wiązem tlił się niechętnie, jakby był obrażony... Zaiste i Sadzuch wtedy długo się namyślał. Długo i milcząco nachylał nad dymem z żarzących się polan i spoglądał to na ogień, to na zdobycz. Czekał. Żądał odpowiedzi. Plemię również czekało. Głód w podkrążonych oczach mówił jedno. Strach drugie. Baba Kurczur boso podreptywała w błocie przed chatami, dzwoniła kośćmi i ściśniętym głosem, jakby coś ją chwyciło za gardło, gderała na przekór biesom i złu. Czarownik też z napiętą twarzą, przewracając oczyma, mrucał coś świętego... I Sadzuch postąpił wbrew jej woli – nie nakazał spalić całej zdobyczy ku chwale bóstw i opiekuńczych duchów, zgodnie z Baby życzeniem.

– Będziemy jeść...– wyrzekł wreszcie cicho, zadzierając przy tym głowę. Po czym wstał, niczym wilk spojrział to na mokradła, to na deszcz, na Babę, chaty, na mrumura i myśliwych, po czym jeszcze ciszej, z jeszcze wyżej podniesioną brodą dodał:

– Bądźmy odważni i silni...

Po czym wznosił ręce, jakby nad siwą poczochną głowę trzymał wielką niewidzialną misę – wtedy wszyscy wiedzieli, że to gest Niebieskiej Jutrzenki w podzięcie, innym bóstwom na chwałę i krwawemu duchowi w niecce za cały rok obiecał szczególnie obfite dary. Zacięty grymas z twarzy mrumura powoli ustępował. Myśliwi też przytaknęli tej obietnicy. Również jeden drugiemu – jakoby w długu przymierza. Po czym w atmosferze tajemnicy, acz z błyszczącymi oczami, rozpoczęli ćwiartowanie dzika. Przed nieruchomym mrumurem kładli najlepsze części: od wnętrzości, po szpik i ścięgnięta przeznaczone dla Niebieskiej Jutrzenki i Gwiazdnego Srogusza, Ognistego i dobrotliwej Mokuszy. Hece zaś przeznaczyci całą, nieotwartą głowę, którą sami, bez czarownika, twardo nabiłi na kołek zatknęli w ogrodzenie od strony bagien. A krwawemu duchowi w niecce dolali czarkę świeżej, dzikiej krwi.

Jastrzębiowi zdobyli wiele tłuszczu.

Dobry, tłusty wywar tego wieczoru zniweczył wszechpanującą dotąd wrogość. Także podczas następnych dni, na przekór obawom Baby Kurczur nikogo w Kunim nic złego spotkało. A nasmarowani prawdziwą, dziką mazią ze świńskich trzewi i prawdziwą dziką krwią znów wyruszyli i powrócili i tym razem z upolowanym wieprzem... Wszystko to wróżyło coraz lepiej. Mimo tego, że deszcz ani na chwilę nie przestawał siąpić, a od Temory jeszcze ciągle słychać było groźny i posępny szum, wycie wiatru, a wraz z nim wieczorami, wycie wilków – odgłosy wszelkich nieszczęść i bagniorów... Mimo, że nad nimi ciągle wisało nabrzmiałe niebo, a po zboczu w towarzystwie chłodu i wilków toczyła się mroczna mgła.

Za to widmo głodu powoli ustępowało z ich oczu. W istocie, mało kto jeszcze wyzbył się tego strachu. Niemniej myśliwych, mimo tego wszystkiego, wciąż bardziej kusiło, gnało i mamiło na polowania. A wśród nich Iwina i Jelina. Mogli oni wziąć za ledwie odrobinę dzikiej mazi z jelit,

odrobinę dzikiej krwi, jednak jako młodzieńcy nie śmieli zapuszczać się w głębsze oraz jeszcze bardziej niebezpieczne rejony łowisk. Wolno było im tropić tylko przy brzegach Kalnicy – w błocie, na deszczu, w mroku i na mrozie... Poznali zatem posępne, drażniące dreszcze towarzyszące bryzgającej krwi, zaklinanie heka w strzale, strach i niepokój – wszystkie te uczucia jakby splecione w jedno. Poznali urok, który pociąga, wabi z każdym krokiem, obiecuje i cicho się odgraża, kłuje, popiskuje, chodzi bezszelestnie, szumi, przemyka albo zasada się w pobliżu. Tak, to tu, a może jednak tam zakrakała wrona albo wrzasnęła sójka. Być może skryta gdzieś daleko, odezwała się sroka... Kiedy tak stali przemoczeni i zziębnięci na czatach, lub przedzierali się przez zarośla i muł, wszystko zdawało się im jakby przeklęte przez deszcz, mgłę, nieszczęścia – wszystko jakby na nich patrzyło wilkiem. Poprzez wiatr próbowali wyczuć duchy. Bo czasami rzeczywiście nie wiadomo było, kto strząsał wielkie krople z drzew. Nie wiadomo, co czasami złośliwie zaskrzypiało w koronach drzew. Kto wie, co kuliło się w zasięgu wzroku – spowite tajemnicą i mrokiem na chwilę przystawało przy pniu, by w tej samej chwili się z nim zespolić albo rozplynąć we mgle. Wiedzieli, jak chodzić cicho. Jak milczeć. Zataić strach czy niespokojny oddech. I wiedzieli jak trwać mają zmęczeni do nieprzytomności, o głodzie i w chłodzie – dzień po dniu trwać i przełykać ten cierpki smak przygnębienia, gdy raz po raz o zmroku, na pewno zbyt często, bez zdobyczy wracali do Kuniego. Starcy i myśliwi milcząc na to wszystko patrzyli – patrzyli jakby wiele wiedzieli. Na posępnych obliczach nie widniały uśmiechy, tym bardziej jakiś przyjazny czy zachęcający ich do dalszych prób znak. „Duchy i bóstwa dają i biorą podług własnej woli” – tak rozmawiali po łowach... Inaczej być nie mogło.

Mimo tego, dzięki dzikom przynajmniej na początku tym dwóm młodzieńcom wiodło się nieco lepiej. Wszak niemalże każdego wieczoru dostawali zupę, coś tłustego, czasem choć odrobinę dzikiej mazi i krwi do posmarowania. Po tym nawet chodziło im się jakby lżej. Wkrótce Iwin zabił srokę. A jeszcze tego samego dnia wronę. Przez kilka następnych dni podobnie szczęściło się Jelinowi. Byli dumni. Zadowoleni. Toteż wieczorami, w blasku ognia, siedząc na młodzieńczym pniu, kiedy w końcu także dzięki nim coś się piekło czy gotowało, poczuli się jakby trochę bliżsi i podobni do pozostałych – którzy przecież przed świniami też nie przynosili nic lepszego od wron czy srok.

Niemniej i wtedy patrzono na nich krzywo. Zwłaszcza młodzi myśliwi przyglądali im się jeszcze częściej, dłużej i uporczywie dziwnie.

Więc kiedy przy przygotowywaniu wspólnego posiłku zaprzestano ćwiartowania ich srok, w otoczeniu takich spojrzeń obaj siedzieli niczym na rozżarzonych węglach.

Po kilku dniach łowczy ich wronę puścili w niepamięć.

Tego wieczoru nie smakowała im ani zupa, ani zanurzona w niej wieprzowina.

Powiedzieli sobie potem, że tamci jeszcze zobaczą, że się dowiedzą. Długo owej nocy siedzieli w zimnej chacie. Jelin przygnębiony cichcem zarzekał się, że kiedyś przywlecze i położy na ofiarnym pniaku samego dzikiego knura... A potem młodzi myśliwi będą wytrzeszczać oczy. Potem popamiętają. Iwin milczał wtedy z pochyloną głową. Zapewne w tym czasie nie prosił więcej ani duchy, ani Niebieską Jutrzenkę o wieprza. Jelin był pewien, że jego towarzysz gdzieś w tej swojej potarganej głowie znowu pobłądził ku dobrotliwej Mokuszy, może nawet myślami był wśród kobiet... On jeden raczył wiedzieć gdzie. Nie sposób było jednak nie zobaczyć, że i Iwinowi przez te spojrzenia, wrony i zupę, tak do końca wszystko jedno nie jest.

Nawet na czatach, myślami był gdzie indziej. Gdy Jelin uświadamiał mu, że jest na polowaniu, ten zrywał się jakby z głębokiego snu.

Przyznać trzeba było, że i z procy i łuku w miarę potrzeby dobrze celował. Umiał też chodzić bezszelestnie niczym duch. Stać i czuć na czatach. Wszak Jelin bez słowa sporu wiedział, że w myślistwie on sam tak dobrze sobie nie radzi. Tylko wtedy, gdy Iwin zdawał się gdzieś odpływać myślami, wydawało się, jakby ogarnął go jakiś obcy, innym nieznanym mrok. Widać to było jeszcze bardziej, gdy ostrzył i nacierał narzędzia czy smętnie popiskiwał na piszczałce. W tych dźwiękach słychać było, jakby się to przybliżał to oddalał, to zastygał w tym gnębiącym go niepokojem. Jakby wydawał w nich godowe odgłosy dobrotliwej Mokuszy, mrużył wtedy oczy i jakby przyglądał się zmysłowej płodnej kobiecie. To jego popiskiwanie najczęściej nie było ani obce, ani niemiłe dla ucha. Właściwie Jelin nigdy się za to na niego niezłościł. Prawda, że w środku wiele razy aż się w nim gotowało. Prawda, że ostre słowa czasem już miał na myśli i na języku. Jednak potem ich, kto wie dlaczego, nie wypowiadał – więc tak chodzili czy siedzieli milcząc, każdy ze swoimi duchami i pragnieniami wznoszonymi do bóstw.

Tak czy owak Jelin chciał, a nawet musiał wypytać duchy przyrody o dzika. Jednocześnie się bał, że Iwin nie w porę zapiszczy w ciemności i te dźwięki przeznaczone dobrotliwej Mokuszy przeszkodzą duchom w pojmaniu knura, niweczając w ten sposób upragniony skutek myśliwskiego zaklęcia... Może by potem nawet i wrzasnął na niego. Bo z duchami, urokiem i polowaniem nie było tak prosto. Bo próba od zawsze dla każdego młodzieńca oznaczała krwawą poważną sprawę. Nie było tu miejsca na dziwne, choć podobające się dobrotliwej Mokuszy popiskiwanie. Jest źle – w głowie Jelina szeptał jakiś duch. Zbiorą ich, jak jeden mąż, pod więzaniem w Jastrzębiową Noc: wśród nich będą Jelin i Iwin spragnieni płodnych kobiet... Tylko im dwóm zostawią matczyne imiona, wcisną w rękę motykę, zamiast całego dumnego myśliwskiego Znaku Jastrzębia na piersi a czarownik wytnie im między nogami hańbiącą ranę. Jest źle. Już bolało – nawet paliło od żaru w trzewiach i pachwinach. Źle się działo. Dlatego Jelin wtedy jeszcze bardziej niż dotychczas drżał tak bardzo, że nawet nie był w stanie wydać głosu; syknął tylko zza zaciśniętych zębów, a bratu po próbie i rodzie krótko, aczkolwiek dla dobra myśliwskiego zaklęcia nakazał prosić duchy i Niebieską Jutrzenkę o dzikiego wieprza, jednocześnie rozkazał mu przegonić na cztery wiatry obrzydliwą marę okaleczonego trzebieńca. Między tą wizją a Iwinem również wtedy zawisła

zasłonomroku – owa zamknięta w nim tajemnica, nigdy przezeń niewypowiedziana, więc i przezeń pewnie niepoznana. Jelin wiedział, że Iwin w tym czasie niczego nie może powiedzieć.

Któregoś dnia rankiem, nasmarowani dzikim i swojskim łajnem, z odrobiną dzikiej krwi na twarzy, znowu w deszczu brodzili po błocie. Znow przedzierali się przez gęstwiny nad Kalnicą, przez szczyty wzgórz, nawet padali na ciemną stronę, wierząc, że bagniorzy nie ośmielą się przejść Temory, że podlizny tkwią głęboko pod wodą, gdzie nieopodal Dolnej Dębiny... Tak szli śmiało dalej i dalej wśród szemrzącej, lekko szumiącej ciszy bagnistej leśnej samotności. Tu było widać wilcze ślady. Tu za powojem i mchem milczały brodate prastare duchy. Tu i tam na drzewie Jutrzence Niebieskiej w pokłonie i na znak jastrzębiowych łowisk rzeczywiście wisiąło skrzydło wrony... Lecz mimo tych znaków, mimo skrzydeł, także własne kroki raz po raz słyszało się jak obce, jakby podwojone czy pomieszane z innymi ukrytymi odgłosami, jakby przyczajonymi z tyłu albo dochodzącymi spomiędzy pobliskich drzew.

Aż tu nagle znaleziony ślad obiecująco zdawał się wieść głębiej i głębiej.

– Kulawy – szepnął Iwin z pewnym zalem. Po czym pokazał na ślady tylnej lewej nogi zwierzęcia, które można było dostrzec z boku, i które były rozmazane tak, jakby pozostawiającemu je stworzeniu czegoś brakowało. Obaj wiedzieli, że jeżeli jest ono zranione, to nawet zagojona rana czy kalectwo widocznie utrudnia mu poruszanie. Potem tu i ówdzie idąc tym tropem znaleźli także płytkie, jakby szybko rozryte błoto. Znowu zaczęli. Odgadywali. Coraz bardziej i bardziej wierzyli, że zwierzę nie jest przed nimi daleko. Sądząc po śladach – jeszcze ich nie zauważyło. Jelinowi niemalże zdawało się, że je nawet wyczuwa. Ale próbował powstrzymać zniecierpliwienie. Wierzył w podszepty ducha że nie wszystko zawsze jest tak, jakby się wydawało. Trzeba przemykać cicho, lecz nieco szybciej od Iwina. Być przygotowanym w każdej chwili na heka w sobie, w strzale, na ten błysk, kiedy zauważysz zwierzę, znieruchomiejesz przystając do strzału i pamiętać, że tę chwilę można wyczuć zbyt późno. Po cichu zaklinał wiatr, aby niósł ich kroki, aby ich wiodło jego tchnienie, zaklinał duchowe łajno, duchową krew, duchowe krzaki i drzewa, aby nie odganiały zdobyczy i heka w strzale – niechaj ta we właściwym czasie zanurzy się w zdobyczej krwi.

Gdzieś w oddali sójka dawała o sobie znać.

Wszystko inne zamilkło wśród kropel deszczu.

Pod podeszwą raz po raz zachrzęściło coś drobnego. Wciąż za głośno. Zbyt głośno. Iwin cicho od czasu do czasu przemykał od pnia do pnia. A i Jelin próbował, drząc od przyspieszonego oddechu i pragnienia, obezwładniającego strachu i przygnębienia, delikatnie zaledwie szurając i szeleszcząc stopami.

Sójka nie przestawała.

Raz to bliska, raz to całkiem daleka, niczym bies, niczym zły karłowaty duszek krakając pragnęła zwrócić na siebie uwagę.

Ślad jeszcze przez jakiś czas tak pięknie, jasno pokazywał spokojną chromą wędrówkę po błocie i mule, a przez to pewną obojętność zwierzyny na szumy i sójki. Towarzyszył im dalej ten sam, niczym znak, ledwie widoczny, biegnący poprzez gęstwinę, w dół po zboczach. Chociaż stracili go na dole przy ujściu potoku, nad płytkim wąwozem poniżej wody z rozwleczonym nadgniętym sitowiem, a potem znów znaleźli, to zaczęli wątpić w słuszność wybranego przezeń kierunku, zastanawiać się, czy aby wcześniej nie zbiegli z drogi – wszak wówczas pewnością nie mogliby dalej śledzić zwierzęcia, tak jak to czynili począwszy od pierwszego znalezionej w ziemi zagłębienia.

Długo szukali w sitowiu.
Czatowali za pniami
drzew.

Wąchali wiatr.

Potem każdy na swój sposób, to chodził dookoła to powracał, nawzajem dawali sobie znać kiwając głowami, albo z wbitymi w ziemię oczami, jakby błędząc szli jeden obok drugiego. Tu albo tam, to albo tamto wydawało się być śladem, który jednak potem podążał w sobie tylko znajomym kierunku. Od czasu do czasu znowu bardziej szumiało, wiatr przynosił dziwną woń... Sójka, nie wiedząc kiedy zacichła. A oni ostatecznie nie znajdowali śladów, które byłyby choć na tyle widoczne i rozpoznawalne aby mogły dokądkolwiek wieść. Dopiero kiedy w deszczowej szarości zmierzchu znowu zbyt krótkiego dnia, zaprzestali tropienia i milcząco, z chmurnym spojrzeniem uświadomili sobie, że tu między wodami, po bagnie dobrze byłoby mieć czółno i, że znowu do Kuniego wrócić trzeba bez zdobyczy.

W ten sposób w ciągu następnych dni to brodzili, to płynęli czółnem, nawet nie mierząc do ptaków. Wody, mimo nieustającego siąpienia deszczu, obniżały się i uspokajały.

Duchy, szumy i zapachy zarówno z czółna, jak i od strony wody, nadal obiecywały coś więcej.

Właściwie, potem niemalże każdego dnia pokazywały im się świeże ślady, które zwozdiły ich myśli, prowadziły, mamiły jakby były złym światłem; być może zachęcały tylko do kilku głębokich zanurzeń drągów w gęstwinie, to po tej, to po tamtej stronie Kalnicy. Często gorączkowy niepokój szumiał im w głowie i przejmował dreszczem. A później nocami, w ich snach się miotano i poruszało, wrogo, nieruchomo i niemo, z zakrzywionymi kłami spod długiego ryja, wytrzeszczało z bliska ślepią i wiedziało, że ręka śpiącego nie będzie mu posłuszna, że daremnie spróbują napiąć cięciwę, daremnie spróbuje, z daleka chociażby ugodzić strzałą to złowrogi spojrzenie. Zmarli, myśliwi oraz starcy patrzyli. Zmarli, myśliwi oraz starcy wiedzieli i czekali na Jastrzębiową Noc... A oni obaj tkwili w czółnie gdzieś na trzęsawisku i zbyt często odkrywali obiecujące ślady.

– Świeże – szeptał Iwin, przytrzymując drąg, jakby znowu wyrwany z głębokiego snu. Po czym wychylał się za krawędź czółna zaczynał powoli, czasem nawet zbyt wolno, oglądać ślad

wskazujący na to, że pozostawiło go spłoszone zwierzę. Wtedy Jelin nagle, tak daleko jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem niecierpliwie rozglądał się po pobliskiej gęstwinie, tu i ówdzie po krzakach, pomiędzy rosnące sitowie. Czasami gdzieś coś lekko się poruszyło – lecz ślady niczym uśmiezek szczerzącego zęby heka ciągle zwodziły.

– Te – stwierdzał często, jakoby ze zdziwieniem Iwin, znowu zauważając chrome ślady... To niczym złe zakłęcie powtarzało się, zostawało i męczyło. Nie było innego wyjścia, jak znowu pchnąć wodę drągami, ruszyć za prawdopodobnie osamotnionym kulawcem – który, przynajmniej Jelina, doprowadzał do szaleństwa... Doprowadzał go do tego, że niczym w gorączce znowu straszył go urok, który nie mija, którego nie możesz przespać ani puścić w niepamięć. Znowu straszło go widmem pojawiania się i znikania śladów, jakiegoś drżenia, pełzania, brodzenia przyczajonym, raz po raz przystającym krokiem albo gwałtownym odbijaniem czółna, oddechem zaczerpywanym przy każdym krzaku, przy każdej kępie trzciny albo czatowaniem w sitowiu.